Nr. 6. Kraków, w czerwcu 1902 r. Rok III.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . . . 1 kor. | zagranicą . . . 1 marka
półrocznie . . . 50 hal. | pojedynczy numer 10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

Z tatrzańskich podań.

U pięciu Stawów, po Morskie Oko,
Huk się rozlega grzmiąco, szeroko,
Huk się rozlega skroś żywej skały,
Jakoby Tatry z sobą gadały.

U pięciu Stawów — tam biją młoty,
Tam Duchy obręcz kowają złoty,
Kowają obręcz polskiej korony,
W siedm kamieni drogich sadzony.

Dzień, noc, wre praca w Duchów kuźnicy,
Echa grom niosą po okolicy,
Echa grom niosą po skalnym szczycie,
A serc miliona wtórzy im bicie.

W kuźnicy płonie ogień żywota,
Dech nieśmiertelny żarem się miota,
Żarem się miota, płomieniem bucha,
Narodowego dech święty Ducha.

Kuźnica pełna iskier o zorzy,
Hymn życia wznoszą kowale boży,
Hymn życia wznoszą w pocie, w trójpocie,
Drogie kamienie sadzą na złocie.

Lśnią się łez perły, męki rubiny,
Szafiry marzeń, szmaragdy — czyny,
Płonie korona w stu tęcz wybuchy,
Ale jej skończyć nie mogą Duchy!

Wiek im po wieku rzuca klejnoty:
— A długoż jeszcze onej roboty?
A kiedyż, Duchy, jasna korona
Nad czołem Polski błyśnie skończona?

A huk z górskiego bije przełęcza:
— Hej, nie możemy spoić obręcza,
Bo nam polnego brak jest kamienia,
Co go wszechświatło w djament zamienia!

— A gdzież, a kiedyż znajdzie się ony
Kamień — spoiciel polskiej korony?
A gdzież, a czyjeż wezmą go ręce,
O jakiej zorzy, albo jutrzence? —

— Idźcie na góry, idźcie w doliny,
Tam, gdzie zmierzch siedzi mroczny a siny,
Idźcie skroś cierni, idźcie skroś głogów,
Tam, gdzie noc siedzi u chatnich progów.

Każdy z pod serca wykrzesaj płomię,
I nieś przed sobą światło widomie,

Miłości bratniej światło nieś boże,
O każdą jutrznię, o każdą zorzę!

Na pustym łanie, na polu głuchem,
Rozpłoń ofiarą, rozgorzej duchem,
Niech na wiekowych mroków rubieży,
Świt się zajarzy, blask niech uderzy!

A gdy zadnieje na każdej strzesze,
Wstaną uśpione w ciemnościach rzesze,
I pójdą w jasność jutra ogromną
I dróg piastowych ślady przypomną.

I najdą — one ludu miliony —
Kamień — spoiciel polskiej korony,
Co w prochu leży ciemny i niemy!...
Idźcież, a świećcie rzeszom!...
Idziemy!

Marya Konopnicka.



Jubileusz Maryi Konopnickiej.

Wielka nasza poetka, serdeczna i współczująca z masami narodu, z ludem wiejskim i z udręczonymi biedakami, a niedolę ich — smutek, cierpienie i wszystkie bole Ojczyzny w sercu swem nosząca pieśniarka, święci w bieżącym roku swój świerćwiekowy jubileusz — swe przed dwudziestu pięciu laty zawarte małżeństwo z poezyą. Więc biedna, udręczona i poniewierana Polska — której łzy i skargi i żale w swych pieśniach odtworzyła tak cudnie Konopnicka i dla której tyle miała ona w wierszach swych słów otuchy i pociechy, a nadziei szczerej — pragnie uczcić ją i w roku tym dla niej tak ważnym złożyć jej dowód hołdu i uznania.

W tym celu zawiązał się w Krakowie Komitet i dokłada starań, aby uroczystość jubileuszowa Konopnickiej wypadła jak najświetniej i jak najserdeczniej. Z całego kraju — ba! z całej rozdartej Polski — a nawet z obczyzny, z wychodźctwa naszego, przyjadą we wrześniu do Krakowa przedstawiciele wielbiących ją wszędzie rodaków i złożą umiłowanej a ukochanej poetce swe życzenia — adresy i dary.

I was też miłe Siostry i drodzy Bracia włościanie! serdecznie zaprasza Komitet, abyście na uroczystość tę wysłańców swoich do Krakowa wybrali, a adresy, które wam w załączeniu do dzisiejszej *Przodownicy* przesyłamy, podpisujcie wszyscy i wy, którzy czytacie *Przodownicę* a Maryę Konopnicką z jej prześlicznych poezyi znacie i wy, inni wszyscy, którzy tylko pisać umiecie, aby tej przezacnej Przyjaciółce i Opiekunce a Matce Waszej, tej, która nad wami płacze i z wami się raduje i wam radzi i was poucza, i wami się szczyci, i was w blaskach świętości przez pracę i znoje wasze stawia tak wysoko — wyrazić miłość waszą, cześć, wdzięczność i wszelkiego dobra a błogosławieństwa Bożego życzenie.

Adresy te po podpisaniu odeślijcie najpóźniej z końcem sierpnia do Redakcyi *Przodownicy*, która je w jedną księgę każe pięknie oprawić i Jubilatce od Was w dniu uroczystym doręczy.



WIANKI.

W wigilię św. Jana, t. j. dnia 23 czerwca, odbywa się w całej Polsce piękna i pamiątkowa uroczystość puszczania wianków na wodę. Najwspanialej jednak urządza ją lud, wzdłuż Wisły zamieszkały, w dowód czci dla przedhistorycznego podania polskiego o królowej Wandzie i jej bohaterskiej śmierci w nurtach tejże rzeki.

Na tle tego to podania napisał młody, a bardzo ceniony poeta nasz Stanisław Wyspiański piękny utwór p. t. „Legenda“, w którym misternie splątał to starodawne podanie dziejowe z baśniami i wierzeniami ludu o wodnych boginiach-rusałkach, i pięknym językiem ludowym, jędrnym, prostym a poetycznym wypowiedział.

„Legenda“ składa się z 2 części. W pierwszej wprowadza nas autor do wielkiej sali starodawnego, drewnianego zamku na Wawelu, gdzie „na podścielonych snopach zboża, przykrytych skórami niedźwiedziów i wilków, leży umierający król Krak; siwy starzec wielkiej budowy“. A jest to właśnie chwila, w której na ziemię polską, na dzierżawy Kraka, napadli Niemcy pod wodzą Rytgiera. Dzielna zawsze i zwycięzka dłoń Kraka, dziś krzepnąca w przedzgonnej godzinie

nie w mocy już ująć za oręż i wroga odpędzić. Więc Niemcy wdzierają się na wzgórze Wawel i do bram zamczyska królewskiego się dobijają. Wojewodowie, witezie i ratary czyli wodzowie polscy, wszyscy już w boju tym strasznym polegli — wojownicy rozbiegli się, niema kto sadyby wawelskiej obronić i lada chwila wedrą się Niemcy w komnaty królewskie, aby ostatnią zgotować Polsce zagładę.

Nie chce do tego dopuścić Krak mrący — więc myśli nad tem, jakby grożące Ojczyźnie odwrócić nieszczęście. Jeden z jego zaufanych sług, Łopuch, podsuwa nadzieję ratunku przez użycie mocy bóstw-czarów — i powiada:

„Ktokolwiekby się wodzie przysiągł wiecznie
i rzekł,
że żywot swój oddaje Żywi,
to ona da, co prosi,
da, co żąda;
a musi być ten, co żąda,
nietknięty miłością,
bo już zasię Żywa
nie jest od tego, jeno Łada“.

Śmiech (inny sługa Kraka) pyta: „więc być młody ma?“

Łopuch: Tak czar powiada, ino młody.

Śmiech: No, a to się składa, bo królewna, dziewczyna.

Łopuch (nagle zły):
Królewna, wy stary! —
Królewnie nie trza nic o czarach powiadać,
zarazby się sprzysięgła!...

Krak, który marzy o tem, aby
„po zgonie leżeć na wody dnie; jako utonie
żelazo, gdy się je na głębie śmignie i leży,
a rdzą tylko się zrumieni, —
takbym (powiada) chciał
leżeć sam w tej rdzy czerwieni
i spać —
a woda niech mi szumi,
szumi...
na sen,
a nasza Wisła to tak szeptać umi
przedziwnie...
ja tam jak mara
blizko mego grodu
u mego grodu podnóża,
stróż mego zamku
Król mego narodu!....“

A potem w obawie, aby Niemcy po zdobyciu grodu, ciała jego nie porwali z sobą — woła gwałtownie:

„Wy! a mego ciała
nie dajcie, żeby wziął
Allemanowy ratar białowłosy;
Łopuch! nie dajcie
Zaklinam,
ale mi drzew stosy
spalicie, a ciało niech się zwęgli
na stercie choin“.

Łopuch pociesza go:
„Jeśli nie wezmą grodu dziś,
dziś tylko,
to cię przeniesiemy na lasy
w bezpieczne schronisko,
i tam
odprawimy obrzędy i stypę.

Krak:
Nie dać wziąć grodu dziś,
nie dać,
niechajże królewna bije sama,
to nie wezmą“.

Wanda w zbroi wbiega i żali się:
„Czarna chmur opona
przeleciała mi drogę,
ptaków niosąc szarych
skrzydlaty rój, na wróżbę złą.

A król karci ją słowami:
„Gadanie to niewiasty,
szarych się ptaków
trwożącej przelotem“
i upomina ją:

„Chciej być sławną!
ja myślę, że ona
chce być, jako był Krak;
a Krak był sławny,
choć dziś na barłóg upadł
i dziś kona,
zostawił sławę
co niezwyciężona
nie zgaśnie —
i sama będzie śpiewać swoją dumę,
a ty, Krakowa córka i ty młoda,
a ty, jak kwiatki krasa, jak urodą,
i mężna, jako chłopak rosły;
ciebieby, ciebie
sławy białe konie
na góry het poniosły
gonić z Pogwizdem wichry.
. . . .
„córuchno, zemrę,
widzisz, bladość idzie
na mnie,
i ssie mi z twarzy krew,
a tam
ci obcy lecą na wał
i będą chcieli zabrać ciało,
i ciebie zabrać brankę;
i ty

nie rzucisz się walczyć, co stało
jeszcze sił i bić?....
„córo, bież oręże
ty młoda,
niech stanice przy tobie zestawią
i biją....
idź, tam przecie nie jest wiele luda
tych najezdników...
synów nie stało mi,
idźże ty,
za syny moje bij,
dziś musisz mi starczyć za syny.

Wanda waha się, niepewna co czynić — król coraz słabnie, aż martwa głowa jego opada w tył — podczas gdy Śmiech uderzając w struny lutni, śpiewa:

„bohater, król pokoju,
po trudach, troskach, znoju
odchodzi w ciemną dal...
droga to jest daleka
przez morze czarnych fal;
na drogę, na wyprawę
daję mu struny łzawe
i łez mu rzucam żal.

Tymczasem walka wre w podwórzu zamkowem, wre coraz zaciętsza — więc Wanda, nie widząc znikąd ratunku, a pomna na zaklęcia ojcowskie — zwraca się do bogini i woła:

„Żywio!
bogini, wy świetlani,
Zezulo, Krasopani,
złota, słoneczna,
Urodo różo-mleczna,
czarów Dziwo!
Tobie się płonią sosny zorzą,
Tobie się kwiaty wonne mnożą.
Lubisz, by pełne rozkwitały,
a ty z nich piła słodycz bożą...
masz we wiślanem dnie komnaty,
chowasz pod tonią fal Rusały,
kłęby dziewczęcych ciał urodnych;
weź młode moje ciało
do twoich krajów w głębiach wodnych.
Kwiat moje ciało:
kwiat czysty;
sama się rzucę w nurt,
sama skoczę
na głąb skalisty.
. . . .
moje ręce nijakie
dziewczęce,
daj mnie
siły dziewięciorakie...
. . . .

nie zwól, by ciało ojca, króla,
psy dzikie rozszarpały w polu
i krew rozniosły w pyskach skrzepłą —
a nad kałużą krwi, pohańbiony
duch marny wił się z bólu.
. . . .
precz odgoń, sępy te, ratary,
co ostro kute spis kończary
spłukali w mego luda krwi;
precz łupieżniki, te zmierżone,
co berdyszami sieką w bronę,
kędy bohatyr, starzec śpi...

Wanda zapada w półsen, podczas którego wchodzi orszak bóstw wodnych t. j. Wodników, Rusałek; Wiślanek, Wilkowyjów, Wilkołaków, Koźlonogów, Baraniogłowów, Toroniów, Wiedźm, Guślarów — ci stroją zmarłego Kraka w ubiór królewski, biorą go na ramiona i wynoszą, przechodząc zaś koło Wandy wkładają jej na głowę wianek z kwiatów wodnych, mający jej nadać czarowną moc spełnienia czego tylko zapragnie, przyczem Rusałka śpiewa:

„kwiat krasy kładę ci na włosy płowe
na niedostępnych zrywany głębinach,
kwiat czaru myśl twą oplata czarami;
skoro twe losy dopełnią się w czynach,
przyjdź, gdzie nasz pałac stoi pod wodami".

a Wiedźma:

„Co chcesz, to będziesz miała,
dopóki masz ten wieniec,
choćbyś pół świata chciała,
czy śmierci czyjej, czy kochania
chcesz, będziesz miała,
bylebyś o tem pamiętała,
żeś nasza,
i że do nas przyjść będziesz musiała.
skoro uzyskasz raz to, czegoś chciała".

Wanda budzi się, a poczuwszy w sobie moc i siłę ogromną, chwyta za oręż — zwołuje sługi, dworzan i rycerzy do boju, i z radością woła:

„Co zechcę, to mieć będę!
nic mi się nie ostoi!
zwyciężyć chcę —
zwyciężę...
hej-ha! w lot za mną, moi!

I wybiega, a za nią chłopy.

* * *

W części drugiej utworu swego ukazuje nam Wyspiański głąb wiślaną z dnem jej skalistem, na którego głazach leży Krak skamieniały, śpiący w koronie przerosłej w krzaki koralowe, zbroja na nim szeroka z blach zardzewiałych, miecz długi i tarcza obok. W wodzie skaczą i pląsają

roje boginek rzecznych, które budzą króla i opowiadają mu dzieje ubiegłej od zgonu jego nocy. Więc walkę Wandy z Niemcami, siłę jej ogromną, męstwo — i zwycięstwo nad wrogiem dziś już wypędzonym.

Na powierzchni Wisły zaś, na prom, przybrany w kwiaty i wieńce, wstępuje Wanda z orszakiem ziemiaństwa i rycerzy, którzy ją wśród gry trąb, bębnów i fujarek, wesołymi okrzykami witają i królem swym obwołują,

a Śmiech mówi:

„Krakowa córo,
lud was woła,
byś mu była królem.
Pomarł Krak,
dziś pana brak,
ano widzisz sama;
ale ty masz Kraka dzielność,
jesteś Kraka córa,
tyś bo zbiła Allemany,
wróg zmożony, odegnany;
więceś jest królewno dzisiaj
królem obwołaną".

Wanda zdejmuje z głowy złoty hełm i podnosi go oburącz do góry; na włosach widać wianek, który włożyły jej rusałki, i woła:

„Oto mój znak,
żem król,
zatknijcie tam u wierzchu
i płynąć tak na drugi brzeg
do grodu".

Na to lud:

„Żyj szczęśliw królu jedyny —
płyń falo mieniąca,
płyń w złotości słońca
w dalekie światy, krainy".

A w głębi Wisły Rusałki śpiewają do Wandy:

„Krasy wianek masz u czoła,
Krasy wianek z naszych wód,
Wróć nam wianek, Wisła woła,
Czarem ocaliłaś lud.
. . . .
Zstąp do nas, zstąp
na wody głąb,
twój ojciec śpiący woła,
rzuć wianek czarów z czoła,
za wiankiem sama zstąp,
wianek ci drogę wskaże
na Wisły głąb".

Pod wodą Rusały i Wilkołaki rzucają się do promu, burzą fale, mącą wodę i prom się kołysze — tonie, ludzie krzyczą przerażeni.

Wanda rozumie, że musi dotrzymać przysięgi, złożonej bogini Żywie, która wraz z wiankiem czarodziejskim dała jej moc zwycięstwa, więc żegna się z ludem i sługami swymi:

„bądźcie mi zdrowi, ukochani
gęślarze, wróże,
chłopy, stróże
i wszyscy, jak was wiele,
żegnać się muszę z wami.
. . . .
na niedostępnych zrywany głębinach
krasy mi wianek zdobi włosy płowe,
kwiat myśl mą ciągnie przedziwnym urokiem,
kędy się cuda roją pod wodami..."

Ponieważ woda znów się mąci, a prom tonie, ciągniony w toń przez Rusałki, więc Smiech woła do ludzi:

„Uciekać z promu,
prom pod wodę spada,
deski się luźnią, rozsuwają,
wodne jakieś ludziska
kłody podrywają.
Uciekać!"

Wszyscy uciekają. Wanda sama jednak zostaje, żegna się z ludźmi, rzuca im ku brzegowi bursztyny ze szyi, branzolety złote i zapinki z rąk i włosów; potem wskakuje do wody, a Rusałki i Wodniki chwytają ją, otulają kamiennym płaszczem i układają do snu w głowach Kraka, przy śpiewie:

„płyń falo, płyń,
pian wodnych wał
uniosą prądy chyże.
. . . .
słyń królu, słyń,
wieczystych chwał
rycerzu, bohatyrze!

światło podwodne gaśnie i wszystko znika.

Taką to legendę o zgonie Wandy podał nam poeta zgodnie z tradycyą wierzeń ludowych, a my w ślad za tem rzucamy w przeddzień św. Jana wianki kwiatów na modre fale Wisły jako znak naszej gotowości poświęcenia się za przykładem królewny Wandy dla dobra Ojczyzny i narodu.



Kilka słów o elektryczności i jej zastosowaniu.

Najpotężniejszą, ale zarazem jakimś tajemniczym urokiem osłoniętą siłą w ręku człowieka, jest obecnie elektryczność, której człowiek używa z bardzo wielką korzyścią do najrozmaitszych celów. Używa jej do oświetlania miast, fabryk i mieszkań, do pędzenia tramwaju, do telegrafowania. Za pomocą prądu elektrycznego może przenosić mowę ludzką z miejsca na miejsce, może miedzią okrywać przedmioty i t. d.

Ażeby jednak zdać sobie sprawę, w jaki sposób to wszystko się dzieje, trzeba najpierw zrozumieć, co nazywamy elektrycznością i w jaki sposób ją otrzymujemy.

W najprostszy sposób otrzymujemy elektryczność przez pocieranie pewnych ciał, jak np. szkła lub żywicy. Jeżeli bowiem będziemy pocierali laskę laku lub szkła kawałkiem sukna lub flaneli, a potem laskę taką zbliżymy do kawałeczków papieru lub lekkich kuleczek z drzewa bzowego, to laska ta będzie je przyciągała, a potem odtrącała. Będzie zatem wykonywała pewną pracę. Przez pocieranie więc, wzbudziliśmy w szkle lub żywicy siłę, której te ciała przedtem nie posiadały, a na mocy której mogą wykonywać pewną pracę; siłę tą nazywamy elektrycznością. Ciało zaś, w którem wzbudziliśmy elektryczność, nazywamy naelektryzowanem.

Jeżeli ciało naelektryzowane zbliżymy do ciała nie naelektryzowanego, to elektryczność przechodzi z ciała naelektryzowanego do tego drugiego, przyczem pierwsze traci elektryczność czyli rozbraja się.

Ciało, które z łatwością przyjmuje elektryczność i szybko ją po swej powierzchni rozprowadza, nazywa się dobrym przewodnikiem elektryczności, takie zaś ciało, które albo elektryczności nie przyjmuje, albo tylko z trudnością i powoli ją po sobie rozprowadza, nazywamy złym przewodnikiem. Jeżeli połączymy dwa ciała w równym stopniu naelektryzowane dobrym przewodnikiem, to elektryczność przenosi się z ciała o wyższym stopniu elektryczności przez dobry przewodnik do ciała o niższym stopnin elektryczności. Taki przepływ elektryczności nazywamy prądem elektrycznym.

Elektryczność możemy otrzymać też w sposób następujący: Jeżeli zanurzymy dwa różne metale n. p. kawałek cynku i kawałek miedzi w naczyniu, w którem się znajduje woda zakwaszona kwasem siarkowym i wystające z naczynia końce metali tak zwane bieguny, połączymy z sobą drutem żelaznym, albo miedzianym, to zaczyna płynąć po tym drucie prąd elektryczny od miedzi do cynku, przyczem ciecz, t. j. ta woda zakwaszona, rozkłada się i cynk się rozpuszcza, a ten objaw nazywamy procesem chemicznym. Takie naczynie wraz z cieczą i metalami w tej cieczy zanurzonymi, nazywamy ogniwem galwanicznem.

A zatem poznaliśmy pierwszy sposób otrzymania elektryczności, przez pocieranie, kosztem pracy zużytej na toż pocieranie. Teraz widzimy, że jest i drugi sposób wywoływania elektryczności, przez zetknięcie się w ogniwie dwóch różnych metali z cieczą, kosztem procesu chemicznego, a siłę, która w ten sposób wzbudza nam elektryczność, nazywamy siłą elektromotoryczną. Ponieważ siła ta, gdy tylko różne metale z cieczą zetkniemy, nieustannie działa, wytwarza nam zatem ciągły prąd elektryczny skoro tylko bieguny ogniwa połączymy. Jeżeli końce biegunów ogniwa połączymy dobrym przewodnikiem, to mówimy, że prąd elektryczny, jest zamknięty, a jeżeli nie połączymy, to mówimy, że prąd jest przerwany. Jeżeli chcemy otrzymać silniejszy prąd, to łączymy kilka ogniw razem, co nazywamy bateryą galwaniczną.

Działanie prądu elektrycznego jest rozmaite. Jeżeli umieścimy po nad drutem, przez który płynie prąd, igiełkę magnesową,*) wskutek działania prądu ona zbacza ze swego położenia, czyli, że przestaje wskazywać jednym końcem północ. Jeżeli połączymy bieguny bateryi cienkim drutem, to drut się rozgrzewa, a jeżeli drut jest dostatecznie cienki, to się spala. Jeżeli weźmiemy sztabę z miękkiego żelaza i owiniemy ją drutem osnutym jedwabiem i końce drutu połączymy z biegunami bateryi, to prąd płynąc około tego żelaza, czyni z niego magnes**) nazwany elektromagnesem.

Ale o wiele ważniejsze do otrzymywania elektryczności są tak zwane maszyny indukcyjne. Maszyny te dostarczają nam prądu elektrycznego o wysokiem napięciu, czyli wielkiej sile, kosztem pracy mechanicznej zużytkowanej na obracanie tych maszyn. Zwłaszcza udoskonaloną i mającą bardzo szerokie zastosowanie do celów praktycznych jest t. zw. dynamo - maszyna. Chcąc sobie zdać sprawę, w jaki sposób naprzykład

---

*) Igiełka magnesowa, jest to cieniutki kawałeczek stali, w kształcie igły, potartej żelazem magnetycznem, czyli zamagnetyzowanej, osadzona na osi tak, że może się poziomo około niej obracać i mającej tę własność, że zawsze jednym końcem zwraca się ku północnej stronie.

**) Magnes jest to żelazo, mające własność przyciągania i przytrzymywania drobnych okruchów żelaza.

tramwaj elektryczny się porusza, trzeba koniecznie nasamprzód poznać taką dynamo-maszynę. Aby zaś poznać, w jaki sposób ona działa i prądu nam dostarcza, trzeba zwrócić uwagę na działanie elektryczności na magnes i odwrotnie. Jeżeli bowiem weźmiemy cewkę. t. j. wydrążoną rurkę, na której jest nawinięty drut, osnuty jedwabiem i w jej środek będziemy wkładali a potem wyjmowali magnes, to przez to będziemy wzbudzali w drucie na cewce prądy elektryczne tak zwane indukcyjne. Na tej to zasadzie jest też zbudowana dynamo-maszyna. Wskład takiej maszyny wchodzi elektromagnes, czyli sztabka magnetycznego żelaza w cewce owiniętej drutem, przez który przechodzi prąd elektryczny. Nad biegunami elektromagnesu jest umieszczczony pierścień, na którym znajdują się nawinięte zwoje drutu owinięte jedwabiem. Otóż jeżeli my przez obrót wprawimy w ruch taki pierścień, czyli jeżeli wskutek obrotu zwoje drutu zmieniać będą swe położenie względem elektromagnesu, to wskutek tego powstaje w zwojach drutu prąd indukcyjny. Tak wzbudzony prąd, zanim opuści maszynę, przepływa przez drut nawinięty na elektromagnesie, przez co ten elektromagnes staje się silniejszym, a będąc silniejszym, w wyższym stopniu oddziaływa na pierścień się obracający i silniejszy wzbudza w nim prąd. Ale ten silniejszy prąd, zanim opuści maszynę i zanim go gdzieś odprowadzimy, musi nasamprzód przejść jak i poprzedni prąd przez zwoje drutu na elektromagnesie, przez co ten staje się jeszcze silniejszym i jeszcze silniejszy wzbudza prąd. Wzmacnianie prądu odbywa się dalej, zależnie zresztą od szybkości, z jaką pierścień obracamy, ale tylko do pewnego stopnia. Ażeby więc otrzymać prąd elektryczny w takiej dynamo-maszynie, musimy ją obracać, czyli maszyna taka wytwarza nam prąd elektryczny, kosztem pracy mechanicznej. Ale taki prąd elektryczny może być napowrót zamieniony na pracę, czyli może nam wykonać pracę, jak n. p. poruszać maszyny, tramwaje, łodzie i t. d. Albowiem dynamo-maszyna ma tę własność, że jeżeli ją obracamy, to ona nam dostarcza prądu elektrycznego; a jeżeli do niej wprowadzimy skądinąd prąd elektryczny, to ten pierścień, umieszczony nad elektromagnesem, zaczyna się sam obracać. Więc możemy jej użyć do poruszania, tak jak maszyny parowej.

Znając działanie i własności dynamo-maszyny można zdać sobie sprawę z rozlicznych zastosowań elektryczności.

I. Tramwaj elektryczny.

Wozy tramwajowe jeżdżą po szynach tak, jak pociągi kolei żelaznej, ale ich nie ciągnie żadna lokomotywa. Widzimy natomiast nad torem rozciągnięte druty, które wychodzą ze stacyi. Na stacyi znajdują się dynamo-maszyny, które poruszane przez maszyny parowe wytwarzają tam prąd elektryczny. Prąd ten płynie ze stacyi po tych drutach znajdujących się nad torem tramwaju. Każdy zaś wóz tramwajowy ma na dachu pręt metalowy, który górnym końcem przesuwa się po drucie wiszącym nad torem, a dolnym końcem jest połączony z dynamo-maszyną, która się znajduje na spodzie każdego wozu tramwajowego. A zatem prąd rozchodzący się ze stacyi po drucie wiszącym nad torem, spływa przez ten pręt znajdujący się na dachu wozu do dynamo-maszyny znajdującej się na spodzie. Gdy prąd doprowadzimy do takiej dynamo-maszyny, pierścień znajdujący się w tej maszynie zaczyna się obracać, a ruch ten zostaje w odpowiedni sposób przeniesiony na koła tramwaju, wskutek czego tramwaj się porusza. Jeżeli zaś chce się tramwaj zatrzymać, to tylko należy przerwać prąd, czyli przerwać połączenie dynamo-maszyny, z prętem sprowadzającym prąd z drutu wiszącego. Bo jeżeli przerwiemy połączenie, to przestanie prąd spływać z góry, a jeżeli nie będzie dopływał prąd, to ta dynamo-maszyna znajdująca się na spodzie wagonu nie będzie kół obracała. Jeżeli zaś chcemy by wóz dalej jechał, to tylko należy zamknąć prąd, czyli napowrót połączyć dynamomaszynę z prętem sprowadzającym prąd, a dynamo-maszyna bedzie poruszała koła, i wóz pojedzie dalej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Niepolityczna bajka.

Leci sobie drapieżny sęp, leci, leci, wreszcie siada wśród skał przy sokolem gnieździe i poczyna krakać na sokoła:

— W imieniu moich praw, słuchaj mnie.

— Czego chcesz? — pyta sokół.

— Chcę cię zabić i pożreć — powiada sęp.

— A cóż ci po mojej zgubie?

— Co za głupie pytanie i co za brak wykształcenia! Ciasno mi jest w rodzinnym gnie-

śdzie, więc chcę zabrać twoje, abym miał gdzie umieścić moich młodszych synów; powtóre, mam swoją sępią politykę, której twoje istnienie zawadza; a po trzecie, kraczesz innym głosem niż ja, i nie kochasz mnie.

— Co do mego głosu, odzywam się takim, jaki mi Bóg dał, a co do mych uczuć, za cóż ja mam cię kochać?

— Mniejsza o to. Wiem tylko, że mam prawo zabić i pożreć każdego, kto mnie nie kocha.

— Więc gdybym cię kochał, nie zabijałbyś mnie?

— Ach! — rzecze sęp — gdybyś mnie kochał, dałbyś mi dobrowolnie swoje gniazdo, również dobrowolnie dałbyś mi się pożreć, aby moja osoba mogła się nieco zaokrąglić i utyć.

— W każdym zatem razie nie uniknąłbym zguby?

— Rozumie się; jednakże śmierć z poświęcenia przyniosłaby ci większy zaszczyt.

Chwila milczenia.

— Co ma być, to będzie... — mówi wreszcie sokół. — Ale powiedz mi też, mój kochany, kto cię nauczył tak rozumować?

Usłyszawszy to sęp, podnosi głowę i rzecze z wielką dumą:

— Prostaku, to chyba nie wiesz, że ja przez dwa lata byłem na edukacyi w ogrodzie zoologicznym w Berlinie!

— Tak?... — mówił sokół. — Ha to w takim razie nadzieja moja tylko w Bogu i trochę także w sobie.

Henryk Sienkiewicz.



Czy można się ustrzedz choroby?

Jak już w poprzednich artykułach powiedziałam, najważniejszą jest rzeczą nieprzyjaciela, czyli choroby do siebie nie dopuścić, ale także samemu do walki z tym nieprzyjacielem dostatecznie się przygotować. Powiedziałam, że to przygotowanie polega głównie na dbałości o zdrowe pożywienie, zdrowy napój, swieże powietrze i dużo światła, dodam tu jeszcze jedno: a umiarkowaną pracę. Człowiek próżnujący, nic używający ruchu — zdrowym nie będzie, tak samo jak i ten, co pracuje nadmiernie. Szczególnie szkodliwą jest nadmierna praca dzieci. Powoduje ona mały wzrost, osłabienie i skłonność do chorób u obarczonej przedwczesną pracą dziatwy wiejskiej, a przez to i większą jej śmiertelność.

Natomiast praca umiarkowana bez wysiłku i nadmiernego zmęczenia, bardzo dobrze oddziaływa na ogólny stan zdrowia i dlatego nietylko za złe uważać pracy nie można, ale przeciwnie za konieczną dla zdrowia potrzebę.

Gdybyśmy chcieli przejść kolejno wszystkie choroby nawiedzające ludzkość i zbadać sposoby ustrzeżenia się ich, musielibyśmy pisać grube tomy. Powiemy tylko o rzeczach najważniejszych, mianowicie o chowaniu niemowląt, o niektórych zaraźliwych chorobach dziecinnych, oraz o suchotach i czerwonce.

Wiecie, że każdego, kto się rodzi lub umiera, w urzędach właściwych zapisują do ksiąg odpowiednich. Takie zapisywanie nazywa się prowadzeniem statystyki. — Otóż z tej statystyki wiemy, że dzieci w pierwszym roku życia umierają najwięcej. Umiera ich nawet więcej niż ludzi bardzo starych. A czyż tak być powinno? Przecież człowiek stary to jest już zużyta, popsuta maszyna, której części pojedyńcze, albo wcale chodzić nie chcą, albo też chodzą nie dobrze. A dziecko to całkiem nowy przyrząd, wszystko w nim calutkie, świeżutkie, nie popsute! Dlaczegóż tedy tak wiele tych maleństw umiera? A oto jedynie dlatego, że się z niemi matki obchodzić nie potrafią.

Oto rodzi się dziecinka zdrowa, silna, aż miło. Usłużne sąsiadki przynoszą zaraz matce „wódkę grzaną ze słoniną“ i przez życzliwość wlewają tej trucizny „ociupinkę“ niemowlęciu do buzi. I cóż dziwnego, że biedactwo od pierwszego dnia krzyczy w niebogłosy, bo spirytus wprost popalił wnętrzności, a od krzyku i pępuszek się wydął i długo goić nie będzie! A przecież powinnyby wszystkie wiedzieć, i pamiętać jedno: niemowlę przez pierwsze pół roku nie powinno nic wziąć w usta oprócz piersi matczynej. A gdy, broń Boże, matka umrze lub ciężko zachoruje tak, że karmić nie będzie w stanie, niech dziecię karmi inna kobieta, lub niech je karmią pokarmem do matczynego najbardziej zbliżonym, to jest mlekiem krowiem.

Ale oprócz mleka nie wolno nic dziecku dawać aż do 6 miesięcy, jeżeli rozmyślnie nie chcemy go narazić na chorobę, a nieraz i śmierć nawet. Ale mleko krowie jest ód kobiecego gęściejsze, mniej tłuste i mniej słodkie. To też trzeba je odpowiednio przyrządzić. Trzeba brać mleko świeże, niezbierane, wierzchnią warstwę,



Artur Grottger: „Wojna“.

4. ODJAZD NA WOJNĘ.



Artur Grottger: „Wojna“.

3. LOSOWANIE REKRUTÓW.

bo ta zawsze tłuściejsza i dodać trochę wody i trochę cukru. Dziecku w pierwszych trzech tygodniach życia, trzeba dawać mleko rzadziutkie, t. j. na 1 łyżkę niezbieranego mleka trzeba dodać 3 łyżki wody i ziarko takie, jak groch okrągły cukru. Wszystko to razem trzeba zawsze świeżo przegotować, ostudzić i gdy będzie lętnie (przyłożone do oka naczynie parzyć nas nie po: winno) dać dziecku wypić przez gumowy smoczek, inaczej pypką lub durmaczkiem zwany. Ale tutaj musicie pamiętać o jednej rzeczy, a pamiętać tak, jak się o przykazaniach pamiętać powinno. Ów gumowy smoczek musi być przpd każdem karmieniem nietylko wymyty z mleka, lecz w czystej wodzie wygotowany.

Która matka o takiem wygotowaniu zapomni, może później wobec choroby dziecka sobie powiedzieć: sama zabiłaś swoją dziecinę. Bo dziecko nie znosi najlżejszego kwasu, a mleko w smoczku niewymytym i niewygotowanym zawsze się nakwasi.

Kto zatem musi dziecię karmić mlekiem, ten musi o tych 2 rzeczach pamiętać. Musi przed każdem karmieniem wygotować smoczek i musi przed każdem karmieniem przegotować mleko z wodą i odrobinką cukru. Najlepiej jest za każdym razem przegotować tylko tyle, ile dziecku na raz potrzeba, żeby mleka nie marnować, albo przez oszczędność drugi raz nieprzegotowanego nie dać. — To są najważniejsze zasady karmienia niemowląt. Wszystko inne łatwiej zniesie dziecko, ale zakwaśniały smoczek lub mleko powoduje tak zwaną cholerę dziecięcą, która bardzo często kończy się śmiercią, a zawsze sprowadza osłabienie i wycieńczenie. Dziecko starsze ponad 3 tygodnie powinno dostawać mleko gęściejsze, już wówczas dawać mu trzeba na 1 łyżkę mleka tylko 2 łyżki wody, a dwumiesięczne dziecko może już pić mleko pół na pół z wodą. W ten sposób trzeba mleko zgęszczać, żeby półroczne dziecko już czyste mleko bez wody dostawać zaczęło. A cukru dodawać trzeba, ale bardzo mało. Na szklankę mleka $^1/_2$ kawałka cukru, t. j. nie więcej niż ziarnko bobu.

Dziecko karmione w ten sposób będzie rosło, będzie silne i zdrowe. Bo organizm dziecka nie potrzebuje nic więcej, oprócz mleka. Wszystkie najlepsze, najdroższe potrawy tylko krzywdę mu przynieść mogą.

Poczynając od 6 miesięcy, trzeba dziecku zacząć dawać oprócz mleka coś więcej. Ale nie dajcie mu broń Boże ziemniaków, kwaśnego mleka lub kapusty, albo razowego chleba. Najlepszem pożywieniem będzie rozklejona drobna pszenna kaszka, t. zw. grysik. Na gotującą wodę, wsypcie łyżeczkę grysiku, szczyptę maleńką soli i kólеczkę, jak bób masła. Pogotujcie to 5 minut, ostudźcie i dajcie dzieciątku. I nie drogie to pożywienie, i zdrowe i posilne. Również dobrem jedzeniem będzie rozmoczona bułka w mleku, albo ugotowane jajko. Ale jajko dawać trzeba tylko dobrze ogrzane, żeby się nie ścięło, bo takiego twardego to żołądek dziecka nie strawi. W dodatku jajek nie należy dawać wcześniej niż wówczas, gdy dziecko przynajmniej 8 miesięcy mieć będzie. Tak karmić trzeba dzieci do 1 roku życia. Po roku trzeba powoli, ale powtarzam p o w o l i zacząć przyzwyczajać do różnych pokarmów, nawet do barszczu i kapusty, ale nie odrazu. Niech na początek dziecko zje łyżeczkę jedną, za parę dni niech zje dwie łyżeczki i tak po trochu do wszystkiego przywyknie.

Oprócz dbałości o odpowiednie pożywienie, powinna matka pilnować, żeby jej dziecina była suchą i czystą.

W pierwszych miesiącach życia, dbałość o suche pieluchy stanowi duży kłopot, ale tylko w ten sposób uniknie się zaognienia i zaczerwienienia, a nieraz zapalenia skóry na nóżkach i pośladkach, a oszczędzt dziecku bólu i płacau.

Uzbierajcie również trochę widłaków, jeżeli blisko lasu mieszkacie, inaczej kołtunamt zwanych, i wysypcie z nich delikatny żółty proszek nakształt mąki. Zbierzcie ten proszek do szklaneczki i obsypujcie nim dzieciątku nóżki i pośladek, gdyby się zaogniły. Kto nie może sam uzbierać widłaków, niech kupi w aptece za 3 centy mączki ryżowej i niech tem po wysuszeniu zasypuje. a czerwoność wnet ustąpi.

Również powinno być dziecko co dzień na tyle w wodzie ciepłej (żeby łokieć zanurzony nie czuł poparzenia), wykąpane. A musi to być robione dopóty, dopóki dziecko pod siebie wszystkie potrzeby oddaje. Bez kąpieli nie utrzymamy czystości. Trochę zachodu ze strony matki opłaci sowicie zdrowy wzrost dziecięcia.

I jeszcze jednej rzeczy strzedz trzeba. A mianowicie tego, żeby dziecko ze zbyt wielkiego ciepła do wielkiego chłodu nie było przenoszone. Bo dziecko nie znosi zmiany ciepłoty. Człowiek starszy, jak wyjdzie bez odzieży zwierzchniej z gorącej izby na mroźne powietrze — również na płuca zachorować może, a cóż dopiero taka mała delikatna dziecinka. To też pilnie baczyć trzeba na to, aby w izbie zawsze było jednakowo ciepło, żeby dziecko nie było trzymanem ani przy piecu, ani przy oknie, i żeby bez dobrego osłonięcia nie było wynoszonem na dwór.

Sądzę, że to już wszystkie najważniejsze rady dla pielęgnowania niemowląt potrzebne. Inne streszczą się w paru słowach: troskliwość, czuła opieka i pamięć, że dziecko to najbardziej niedołężne stworzenie, które bez opieki zmarnieje i zginie. *K. Bujwidowa.*



List z Górnego Ślązka

do Redakcyi »Przodownicy“.

O wycieczce do Krakowa napisały tutejsze Blatty niegodziwości i głupstwa. I tak, że wycieczka ta nie ma na celu jakiejś przyjemności, ale jest poprostu przeglądem wojsk naszych. Muzykę witającą naszych na dworcu naszych „Musikbande“. Wiedziano dokładnie kto i co przemawiał. Nazwisko mego męża wspominano kilkakrotnie. Nie ulega wątpliwości, że szpiedzy byli wszędzie Za Ślązakami jechano już od Żabna, a może nawet od Gliwic. Po powrocie posypały się rewizye, wypytywania, nadchodzenia policyi i t. p.

I o „Przodownicę“ dowiadują się już władze. Dziś przyszedł jeden z Żabna i opowiadał, że policya pyta się o gazetę z obrazkiem Matki Boskiej Częstochowskiej. Chodzi tu o Nr. 5, a tem samem o wiersz: „Prusak męczy polskie dziatki“. Co nam jutro przyniesie, nie wiemy. Idą na nas nowe miliony i nowe przeciw nam prawa. Ale już się nie lękamy, bo nie zrobią nam nic, nie wymyślą niczego, czem by nas można wytępić.

Gdy myślę o Ślązku, to żal mi, że nie mamy otwartej drogi do Księstwa, że łącznik z niem jest obecnie nie możliwy prawie. Ślązk nie zna wcale Poznańskiego.... I wiele jeszcze złamie się duchów i wiele zużyje sił, zanim się połączymy z tamtejszą naszą bracią. A jaka by to była siła w jednej otwartej drodze ze Lwowa aż do samego Gdańska? „Chciałaby dusza do raju, ale jej nie puszczają“.

Pani! dola naszych dzieci w szkole taka strasznie ciężka. W Żabnie odebrał nauczyciel pewnemu chłopcu polski elementarz. Następnego dnia chłopiec ów za poradą swego ojca upomniał się o zabraną książkę. Nauczyciel zbił chłopca tak, że cała głowa mu opuchła, a w ustach chłopczyka chwiały się wszystkie zęby. W Zaborzu pewna dziewczyna za to, że poszła na polską naukę religii, musiała w czasie godzin szkolnych stać przez całe dwa miesiące. Na karę tę skazała ją nauczycielka Misch. Skarżyłam się raz w liście do Pani Drogiej, że mój sześcioletni Janek jest często w szkole karany. Dziwiło mnie, bo to dziecko dobre, łagodne i nadzwyczaj chętne. Oprócz tego przeszedł operacyę i od roku blizko nie jest zupełnie zdrowy, o czem uprzedzono nauczycieli. Raz skorzystałam z tego, że Janek był trochę niezdrowy, poszłam sama go odmeldować, przyczem zapytałam o jego zachowanie się. Nauczyciel począł mi go bardzo chwalić, że grzeczny, zawsze pogodny i że bardzo rozwinięty umysłowo. Dziwił się również, że mówi tak dobrze po niemiecku Na to odrzekłam, że o niemczyznę nigdy się nie bałam, bo tej się dziecko łatwo nauczy. Prosiłam go następnie o cierpliwość i wyrozumiałość dla dziecka gdyby kiedy zawiniło i to przez wzgląd że niezdrowe. W tydzień później przychodzi Janek ze szkoły i siada bardzo smutny na stołeczku w kuchni. Ponieważ jest zawsze pogodny i uśmiechnięty, uderza mię zaduma i zapytuję, co mu jest. Po dość długiej chwili przyznaje mi się, że został ukarany i wybucha płaczem, do którego zresztą nie jest wcale skłonny. Pokazuje mi rączkę; wzdłuż dłoni sina pręga, a oprócz tego ręka silnie zapuchła. Zdrętwiałam od bólu, pytam się za co go ukarano tak silnem uderzeniem — Janek jąkając się odpowiada, że nie uważał co nauczyciel mówi Mąż mój na widok zapuchłej ręki dzieciaka, swego ulubieńca łka prawie od bólu. Zalecam spokój, aby położenia dziecka nie pogarszać, a Jankowi aby był uważnym i ostrożnym w szkole.

W tydzień później rozgadałam się raz z chłopczykiem i wówczas dziecko opowiada mi, za co było wówczas ukarane.

W czasie pauzy, w sieni szkolnej odezwał się po polsku do chłopczyka, który mieszkał dawniej naprzeciw nas i często Janka odwiedzał, a tem samem mówił u nas po polsku. Zły nauczyciel posłyszawszy to, wprowadził Janka napowrót do klasy i bez świadków wymierzył mu takie uderzenie w rączkę, że w kilka dni miało jeszcze znaki biedactwo. Nadto powiedział do Janka, że jeżeli się poważy powiewiedzieć o tem ojcu lub matce, to jeszcze raz tyle dostanie. I chłopiec przelękniony milczał, choć jest z natury obrotny i gadulski. Czyż żądanie, aby 6-letnie dziecko polskich rodziców mówiło w szkole tylko po niemiecku, nie jest bezprzykładnem barbarzyństwem. Nauczyciel ten nazywa się Schmied. Mąż na wiadomość o przyczynie ukarania, chciał iść do do szkoły i spoliczkować brutala. Powstrzymałam męża, bo wiem, żeby tylko swą gorącością zaszkodził, a mam w szkole niestety troje dzieci, skazanych na barbarzyństwo niemieckie. Jeżeliby się to miało kiedykolwiek powtórzyć, to sprawę załatwię sama, bez współudziału mężczyzny.

Nie znam bliżej stosunków w Królestwie, ale zdaje mi się, że chyba nie gorsze niż u nas.

Strasznemi musiały być nasze winny, jeżeli dzisiaj tak ciężko karze Bóg!

Na własnej ziemi tak nam braknie chleba, braknie tchu w piersiach i spokojnej na czole pogody, a oni mają wszystko!

Tam, u Was w Krakowie, tam tyle kwiatów! My nie mamy ni kwiatów, ni zieleni, tysiącletnie burze dziejowe zmieniły nasze lasy na węgiel i na głazy. To kwiaty Ślązka. A symbol nasz: to górnik czarny, pochylony ze złowieszczem nieraz oczu spojrzeniem i pięścią zaciśniętą w kułak. Typy takie zrodziła tylko ta ziemia.

A tyle wsiąkło w nią łez i tyle ludzkiego potu i tyle w głębi niej legło tajemniczo ciał ludzkich, a tyle przekleństw odbiło o jej kamienne i zwęglone ściany....

By nędzę ziemi tej wyśpiewać, by odczuć tajemne szmery jej przeszłości i jutro jej mgliste odgadnąc, potrzeba wieszcza jakiego jeszcze nie było.



SPRAWOZDANIE

KRAKOWSKIEGO KOMITETU OBYWATELSKIEGO

w sprawie „Domu Polskiego“ w Morawskiej Ostrawie.

Komitet obywatelski, zawiązany w Krakowie z końcem roku 1900 celem niesienia pomocy Towarzystwu Budowy „Domu Polskiego“ w M. Ostrawie, zwrócił się do ogółu polskiego społeczeństwa z żądaniem złożenia funduszów na uratowanie od upadku tej jedynej ochrony rzuconego bez żadnej opieki polskiego robotnika przeciw zniemczeniu i zczechizowaniu.

Chwila była bardzo poważna; tu nietylko „Dom Polski“ w M. Ostrawie, lecz i honor narodowy był zagrożony. Niemcy i Czesi, zagospodarowani już dawno, oczekiwali z upragnieniem chwili, kiedy „Dom Polski“, zaledwie wybudowany i otwarty, wskutek braku poparcia społeczeństwa polskiego zostanie zlicytowany i kiedy znowu ta biedna fala 30-tysięcznego robotnika polskiego bez wspólnego ogniska zdaną będzie losowi wynarodowienia.

„Dom Polski“ w M. Ostrawie miał 260 tysięcy koron długu. Należało zatem w pierwszej linii zaspokoić przedsiębiorców i rzemieślników, którzy ani chwili czekać nie chcieli.

Sprawami Towarzystwa Budowy „Domu Polskiego“ zawiaduje obecnie Dyrekcya, złożona z członków inteligencyi miejscowej w M. Ostrawie, tudzież Rada nadzorcza, która urzęduje w Krakowie i złożoną jest z ludzi, w Krakowie zamieszkałych.

„Dom Polski“ jest zatem chwilowo uratowany. Stanowi on żywe ognisko narodowego życia i podstawę do szerzenia oświaty polskiej, bo otworzył podwoje dla wszystkich Towarzystw polskich w M. Ostrawie, Czytelni polskich, teatrów amatorskich, a wkrótce ma przyjąć u siebie pierwszą szkołę ludową polską w Morawie, założyć się mającą przez Towarzystwo „Szkoły ludowej“.

„Dom Polski“ da więc sposobność robotnikom polskim posyłania swych dzieci do polskiej szkoły i zapobiegnie wynarodowieniu przyszłych pokoleń.

Ideałem naszym, powtarzamy z odezwy poprzedniej, „jest pragnienie, bym dom stał się własnością narodową, by dochody z „Domu“ szły na szerzenie polskiej oświaty, a nie zaprzepaszczały się na płacenie procentów od czeskich i niemieckich pożyczek“ — ale każdy ideał ziszcza się tylko częściowo, a w dodatku powoli. Reszta długu musi być do października zwróconą, inaczej nowe widmo licytacyi „Domowi“ grozić będzie.

Czyżbyśmy na rozkupienie 2000 dwudziestokoronowych udziałów do tego czasu zdobyć się nie mogli?

Wszak ofiarność nasza dla Ślązka już tylokrotnie się zaznaczyła, a świeży jej przykład z seminaryum cieszyńskiem dużej dodaje otuchy. To też o nabywanie udziałów „Domu Polskiego“ w Ostrawie nawołujemy ponownie. Każdy obywatel Polak powinien uważać sobie za zaszczytny obowiązek stania się przez nabycie udziału współwłaścicielem jednej z tych naszych fortec kresowych, jakimi są śląskie „Domy narodowe“.

Pośrednictwa w sprzedaży udziałów i zbieraniu wkładek na „Dom polski“ w Morawskiej Ostrawie podejmuje się w dalszym ciągu w Krakowie Odo Bujwid, prof. Uniwersytetu, ul. Kolejowa 3, tudzież Tadeusz Bednarski, adwokat krajowy, Wiślna 3.



Pojenie cieląt.

Przez prof. Dra Steuert'a.

Wszędzie tam, gdzie hodowlę cieląt prowadzą pożytecznie, odsadzają cielęta po 2 dniach od krowy i poją je mlekiem ze szkopka lub sztuczną mamką ze smoczkiem gumowym. Postępowanie to, jeżeli dokładnie wykonane, ma swe wielkie korzyści. Największą zaletą tego sposobu wychowu cieląt jest ta, że cielęta nie mogą się nigdy przepoić, gdyż daje im się tylko taką ilość mleka, jaka dla ich rozwoju potrzebna i jaką strawić mogą. Dla cieląt przeznaczonych do chowu, nie jest żadną korzyścią, jeżeli się je obficie poi w pierwszych tygodniach mlekiem niezbieranem (pełnem). W pierwszych tygodniach po urodzeniu potrzebują cielęta do swego rozwoju stosunkowo mało mleka i niezawodnie jest rozrzutnością dawać cielęciu 12 litrów mleka. Przez rozsądne zachowanie odpowiedniej miary będą cielęta zdrowe, natomiast niezawodnie zachorują, jeżeli dostaną odrazu za wiele mleka i przepoją się. Głodne cielęta pozostawione same sobie, nie umieją zachować odpowiedniej miary i wypijają odrazu 3 litry mleka, gdzieby wystarczyło $1^1/_2$ litra. Skoro jednakże nadmierne ilości mleka dostaną się do żołądka, nie może je cielę strawić, a niestrawione resztki fermentują w żołądku i powodują wzdęcie i następnie biegunkę. Choroby te są dla cieląt bardzo zgubne i jeżeli nie są odrazu usunięte, powodują śmierć. Nie należy ich lekceważyć, bo zwykle trudne są do usunięcia, często choroba się wraca i powoduje powstrzymanie w rozwoju cielęcia. Wszystkich tych niekorzyści uniknąć można, jeżeli się cielęta poi we właściwy sposób odmierzoną ilością mleka, odpowiednią do wieku cielęcia, ze szkopka lub ze sztucznej mamki do pojenia (z gumowym smoczkiem). W pierwszym tygodniu wystarcza dla średnio-wielkiego cielęcia 5 litrów mleka. Byczkom można dawać 2 litry więcej czyli 7 litrów. W drugim tygodniu powiększyć można ilość mleka na 6 lub 8 litrów mleka; po 2 tygodniach daje się 7, lub 9 litrów mleka (byczkom). Ilość tę daje się przez 10 tygodni, nie zmieniając, a nie jak zwykle robią przez 4—5 tygodni, co nie jest dobrze, gdyż postępuje się tu z cielętami do chowu jak z tucznemi.

Zwykle dają w pierwszych tygodniach po ulężeniu cielętom po 10 — 12 litrów mleka, a często i więcej, co jest za wiele, więcej jak ich żołądek znieść może. Jeżeli zaś później natura ich potrzebuje jeszcze mleka niezbieranego (pełnego), to już wtenczas im go najczęściej nie dają. Gdyby z początku oszczędzano mleka, to możnaby cielętom dłużej dawać mleko pełne i dopiero od 10—14 tygodni zacząć im ujmować mleka pełnego, wtenczas odzwyczajanie od mleka odbywałoby się bez żadnej szkody i rozwój cielęcia nie byłby powstrzymany. Jednakże przy większej części przepasionych cieląt, często odzwyczajenie od mleka staje się zgubnem. Jeżeli cielętom przyzwyczajonym przez 6—8 tygodni do tłustego żywienia (jakby do tuczu przeznaczonym), potem odejmie się to tłuste pożywienie, wtedy następuje po czasie nadmiernie tłustego żywienia, czas bardzo chudego żywienia, wówczas następstwem tego będzie znaczne uchudzenie cieląt, nie przyzwyczajonych do skąpszego pożywienia. Wyrażenie, że „cielę musi stracić mięso cielęce“, używane często przez hodowców, nie jest właściwem i nie do zalecenia.

Zwykle przyjmują schudnięcie cielęcia w tym czasie jako coś koniecznego i nie dającego się usunąć. Zgubienie nagromadzonego mięsa u cielęcia nie byłoby jeszcze takiem wielkiem nieszczęściem, gdyby z tem nie było połączone powstrzymanie rozwoju. Początkowe wytuczenie cieląt przeznaczonych do chowu, jest postępowaniem niewłaściwem i gospodarczo niekorzystnem, gdyż połączone jest z rozrzutnością mleka, a mianowicie tłuszczu mlecznego, który gospodarz powinien spieniężyć. Cielę spożyło przy takiem żywieniu bez żadnej korzyści wielką ilość tłuszczu mlecznego, który następnie bezużytecznie ginie. Zupełnie co innego przy chowie cieląt na tucz, które się sprzedaje wedle wagi. Tam takie żywienie jest naturalnie wskazanem. Cielęta powinny w krótkim okresie czasu tuczenia dostać tyle mleka pełnego, ile tylko wypić mogą, gd[illegible] tu się zapłaci tłuszcz mleczny przez sprzeda[illegible] wytuczonego cielęcia.

Przy cielętach natomiast na chów zupełnie inaczej postępować trzeba. Tutaj idzie przedewszystkiem o to, aby cielę utrzymać w zdrowiu, aby się mogło dobrze i szybko rozwijać, aby w czasie odzwyczajania od mleka, było mocne i zdrowe, i z łatwością przejście to, bez szkody w rozwoju, znieść mogło. Oszczędne żywienie pełnem mlekiem w pierwszym okresie rozwoju, ma tę wielką korzyść, że cielęta zmuszone są, aby głód zaspokoić, szybko i wcześnie przyzwyczajać się do innej paszy surowej, jak siana itp. Jeżeli głód swój zasycą zupełnie pełnem mlekiem, to nie tkną siana, części żołądka, jak żwacz, czepiec, księgi i trawieniec nie mogą się dostatecznie rozwinąć i wykształcić. Jeżeli jednak cielęta są zmuszone już od 3-go tygodnia zacząć

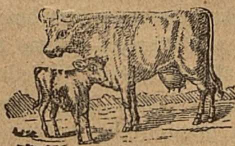
pożywać po trochu dobrego siana, wtedy rozpoczyna się powolny ale wystarczający rozwój części żołądka, a czas powolnego odzwyczajania od mleka nie pozostawia żadnych szkodliwych skutków w rozwoju i wyglądzie cielęcia. Żołądek cielęcia jest odpowiednio wykształcony i powoli przyzwyczajony do przeżuwania surowej paszy.

W tym czasie jest nader pożądanem, aby cielęta obok zdrowej i posilnej paszy, dostawały zawsze jeszcze przez pewien czas po trochu pełnego obok odtłuszczonego mleka. Mleko, któreśmy oszczędzili w pierwszych tygodniach żywienia, będzie teraz dla cieląt z wielką korzyścią. Gdyby się w ten sposób w wychowie cieląt postępowało, toby się gospodarze uchronili od wielu strat, które ponoszą przez przepojenie cieląt w pierwszych tygodniach żywienia. W drugim zaś okresie żywienia cofałyby się cielęta w swym rozwoju przez za skąpe żywienie i zdychałyby na choroby żołądka i kiszek, co się tak często zdarza.

Samo się przez się rozumie, że pojenie ze szkopka lub sztucznej mamki musi być połączone z największą troskliwością i drobiazgową czystością. Szkopki muszą być zawsze czysto wymyte, wyszorowane i wyparzone, a od czasu do czasu mlekiem wapiennem wymyte, aby zniszczyć wszelkie zarodki kwasów i bakteryi.

Ciepłota mleka musi być taka sama, jak świeżo wydojonego mleka, na co szczególnie zimą bardzo baczyć należy. Niezachowanie ścisłe tych reguł powoduje natychmiast zaburzenie żołądkowe u cieląt, wzdęcie, brak apetytu, biegunkę, a w następstwie często śmierć cielęcia, z wielką stratą hodowcy.

Ziemianin.



Zbierajcie kości zwierzęce.

Kości zwierzęce stanowią bardzo cenną paszę dla drobiu oraz innego inwentarza. Niektóre składy narzędzi rolniczych posiadają młynki do mielenia kości, wcale nie drogie, a bardzo użyteczne, przeto polecenia godne.

W piśmie „Rolnik i Hodowca“ pisze pani Izabella Ryx o użyciu „mąki kostnej“ co następuje: Zbieranie i suszenie kości — przeznaczonych do mielenia, — urządza się tak: Na kuchni, na miejscu najmniej grzejącem, gdzieś na boku, postawić zwykłą blachę, jakiej się używa pod placki. Kucharz i kucharka, gotująca na tejże kuchni, wszelkie kości podczas gotowania wyjmowane z rondla zamiast pod stół kuchenny, (jak to zwykle bywa), niech wrzuca do owej blachy, gdzie natychmiastowo pod działaniem gorąca, bez żadnych dodatkowych starań, rozpocznie się schnięcie kości, a co jest koniecznem do ich zmielenia.

Gdy jakakolwiek ilość zostanie uzbierana, tłucze się ją na drobne kawałki młotem na kamieniu, a tak rozdrobnionemi napełnia się młynek.

Na podstawę będącą pod młynkiem, stawia się jakiś statek, miseczkę lub mały szafliczek, w który podczas kręcenia korbą wpada kość mielona.

Gdy zawartość młynka zmielona przyjdzie do szafliczka, wtedy ową grubo zmieloną kość sypie się na przetak druciany, przesiewa i ręką przeciera. Otrzymujemy wówczas tłustą mąkę, grubości mąki razowej, a na przetaku zostaje kość w kawałkach, wielkości owsa lub nieco większych. Z przetaku sypiemy poraz drugi do młynka i znów przecieramy.

Tym sposobem postępując, po dwukrotnem przemieleniu mamy do rozporządzenia kość mieloną w postaci mąki razowej i grubej śruty; oba gatunki są mocno tłuste.

Mąki tej używać należy jako dodatku do zup dla prosiąt lub cieląt (ze skutkiem zadziwiającym), a śrutę miesza się z miękkim pokarmem kurzym, najczęściej z gotowanymi ziemniakami, które z tą domieszką zjadane są z wielkiem łakomstwem.



Opis obrazów Artura Grottgera

p. t. „Wojna“,

które obecnie dodawać będziemy do *Przodownicy*. Obrazów tych będzie 11.

I. „Pójdź w dolinę łez“.

W samotnej swej pracowni siedzi malarz, głowę pełną myśli i opromienioną natchnieniem wsparł na ramieniu. Wszystko już przygotowane i do dzieła przysposobione, ale myśli zbyt szybko przelatują i w bujnej

wyobraźni mistrza jedna drugą goni, a żadnej pochwycić nie może, by ją na obraz przenieść.

„ . . . . one lecą.
Rozsypują się po niebie,
Toczą się grają i świecą.
Już dalekie, czuję jeszcze,
Ich wdziękami się lubuję,
Ich okrągłość dłonią czuję.
Ich ruch myślą odgaduję.
. . . .
Myśli moje! gwiazdy moje!“ *)

Lecz cóż wybrać za przedmiot swej sztuki? Którąż myśl ma mistrz w barw ubrać tęczę? Zbyt czuje się słabym, by wzniosłem dziełem wynosić Majestat Przedwiecznego, którego wielkość cała natura harmonijnym opiewa chórem. Tylko człowiek i jego czyny na ziemi przyciągają go; nęci go obraz radości ludzkiej, lecz tuż za nią postępuje smutek i tysiąc innych myśli pobudza wyobraźnię mistrza. Zaiste wybór trudny.

Wtem słychać szmer, a przed zdumionym mistrzem stoi promieniejąca postać geniusza z gwiazdą na czole. „Wstań, mistrzu!“ rzecze, „towarzysz mi, a poprowadzę cię do d o l i n y ł e z. Wskażę ci zło, co wiecznie rozdwaja braterskie ludzkości narody, co straszną pożogą niszczy szczęście i krwawą walką tępi niewinne rodziny. Wszak w nieszczęścia bogata Ojczyzna twoja, mistrzu, zna tę dolinę łez — to wojna.

„Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!“ **)

O tak! wojna niech będzie przedmiotem twego dzieła:

„Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić...“ **)

2. Złe wróżby (Kometa).

Wieczór letni. Słońce właśnie skończyło swą dzienną pracę i skryło się za widnokręgiem, oblewając jeszcze uroczy krajobraz krwawą purpurą. Cała przyroda zdaje się spoczywać. I ludzie po całodziennym skwarze szukają wywczasu. Wśród woniejącej zieloności pod rozłożystem drzewem usiadła w ogrodzie na kamiennej ławeczce babunia otoczona rodziną. Już słońce zaszło, a na ciemno-szafirowem tle niebios wśród niezliczonego gwiazd mnóstwa zaświecił kometa.

„Warkocz długi w tył rzucił, część nieba trzecią
Obwinął nim, gwiazd krocie ogarnął jak siecią,
I ciągnie je za sobą, a sam wyżej głową
Mierzy, na północ, prosto w gwiazdę biegunową“. ***)

*) Adam Mickiewicz: „Improwizacya“.
**) Adam Mickiewicz: „Konrad Wallenrod (Pieśń Wajdeloty)“.
***) Adam Mickiewicz: „Pan Tadeusz“ VIII.

Groźne zjawisko! coś niedobrego wróży. Patrz jak wszyscy z przestrachem w tę stronę nieba zwrócili swe oczy, jak przeczucie złowrogie na wszystkich maluje się twarzach. Milczą.

„Myślałbyś, że przeczucie nadzwyczajnych zdarzeń
Ścięło usta, i wzniosło duchy w kraje marzeń“ ***)

Babunia załamuje ręce: wszak kometa to krew oznacza, to przepowiednia blizkich wojen, mordów i pożogi. Niewinne dziecię tuli się do niej i bezwiednie podzielając ogólną trwogę spogląda na ten bicz, co ma smagać narody. Nieco na uboczu stoi młodzieniec głęboko w myślach pogrążony. Wojna! maż on zostać bezczynnym, gdy Ojczyzna w niebezpieczeństwie, gdy para silnych rąk i dzielne serce Ojczyźnie służyć winny? O tak! opuścić mu trzeba będzie tę ziemię miłą, tę rodzinę kochaną i tę siostrę drogą, co na jego ramieniu zawisła, nie przeczuwajac może, że po raz ostatni w życiu go widzi...

Babunia ze złożonemi rękami wciąż spogląda na złowrogą wróżbę i cichą szepce modlitwę za bliskich i dalekich, za całą drogą Ojczyznę.



ROZMAITOŚCI.

Ruch rewolucyjny w Rosyi. Z Półtawy nadchodzą wiadomości o ruchu chłopskim na Ukrainie, donoszące, iż rząd rosyjski usiłuje stłumić rewolucyę zapomocą najbrutalniejszych środków: nahajką i kulą.

„Jakkolwiek gubernator bije bez litości — czytamy w liście z Półtawy — mimo to jednak ruch rewolucyjny wcale nie gaśnie. W jednej z okolicznej wsi strzelano do chłopów, przyczem wiele kobiet i dzieci zostało zranionych, mnóstwo zaś chłopów zabitych. Jeden z nich miał 14 kul w ciele. Żołnierze w wielu miejscach odmawiają posłuszeństwa. Z wiarogodnego źródła donoszą, iż niedawno 28 żołnierzy zostało aresztowanych z tego powodu, iż wzbraniali się strzelać do chłopów. Nieprawdą jest, jakoby ruch chłopski miał charakter rabunku; obecnie zajścia mają charakter o wiele spokojniejszy. Chłopi zabierają zboże i dzielą je pomiędzy siebie stosownie do zamożności i liczby osób w rodzinie, resztę wsypują do gromadzkiego spichrza. Wojsko przychodzi, odbiera zboże, a gdy tylko odejdzie, chłopi znowu robią to samo“.

Inny list z gubernii półtawskiej donosi, że w więzieniu tamtejszem siedzą chłopi i studenci zamknięci razem.

Pewien oficer, nazwiskiem Fedorow, postanowił za każdą cenę schwytać tego, który wrzuca do koszar wojskowych odezwy rewolucyjne. Czyhał na niego długo, aż pewnej nocy szhwycił robotnika nazwiskiem Kriczewski, właśnie w chwili, gdy przez otwarte okno wrzucił papier taki do koszar. Oficer z 4 żołnierzami rzucił się na niego, pojmał go i grożąc mu rewolwerem żądał, aby wydał swoich towarzyszów. Kriczewski tego uczynić nie chciał. W więzieniu bito go tak strasznie, że stracił przytomność. Gdy Kriczewski żalił się przed prokuratorem na to zwierzęce brutalstwo, odparł prokurator ironicznie, iż „minęły te czasy, gdy z takimi ludźmi robiono ceremonie“.

Przez wszystkie trzy dni świąt wielkanocnych Półtawa wyglądała, jakby wojsko każdej chwili oczekiwało napadu nieprzyjaciela. Jeden z oficerów opowiadał, że chłopi, chroniąc się przed wojskiem, trzymali przed sobą małe dzieci, w nadziei, że wojsko nie będzie do dzieci strzelać

W gubernii charkowskiej znęcanie się nad chłopami było jeszcze straszniejsze, aniżeli w gubernii półtawskiej. Jeden z żołnierzy opowiadał: Strzelaliśmy na wszystko, co nam tylko wchodziło w drogę, a kogośmy schwytali, bili4my na śmierć“. Liczba knutów, udzielanych „buntownikom“, dochodzi do 250 na osobę. Ośmiu chłopów, którym udało się umknąć, natrafiło na patrol, którą komenderował pijany oficer. Gficer kazał dać ognia do chłopów i wszystkich 8 położono trupem na miejscu.

Nowy fundusz antypolski. Na posiedzeniu sejmu pruskiego z dnia 27 maja b. r. przyszła na porządek dzienny dyskusya nad przedłożeniem przeciw Polakom. Kanclerz hr. Bülow wywodzi, że rząd ma nietylko prawo, ale także obowiązek w interesie bezpieczeńswa monarchii stworzyć obronę przeciw wielkopolskiej agitacyi. Rozchodzi się o dalszy ciąg tej pracy, którą książę Bismark rozpoczął w roku 1886.

Mowca utrzymuje, że należy wszystko uczynić, aby rozprószyć wielkopolskie marzenia przyszłości. Bardzo ważnym środkiem dla ochrony niemieckości okazała się kolonizacya. Dlatego rząd teraz występuje z żądaniem większego kredytu, aby postęp jej mógł być znacznie szybszy niż dotychczas.

Komisya kolonizacyjna działa dopiero 15 lat i nie można się było spodziewać większych skutków, aniżeli te, które w tym czasie osiągnęła. Komisya kolonizacyjna nabyła do końca r. 1901 165.000 hektarów. Z tego 100 tysięcy ha już rozdzielono i osiedlono na nich 4700 niemizckich rodzin chłopskich. Resztę jeszcze nie osiedlono.

Kończąc, oświadcza Bülow, że jest prawem i obowiązkiem państwa utrzymać własne istnienie. To przedłożenie wynika właśnie z chęci utrzymania własnego bytu i wzmocnienia żywiołu niemieckiego w prowincyach mięszanych.

Następnie rozpoczęła się dyskusya. Poseł Szuman (Koło polskie) występuje przecim temu przedłożeniu i zarzuca rządowi, że nie dotrzymuje uroczystego przyrzeczenia danego Polakom.

Po tem oświadczeniu Polacy opuścili salę obrad.

W połowie zeszłego miesiąca obchodziło uroczystość dziesiątej rocznicy swego istnienia Stowarzyszenie „Szkoły ludowej“ — to jest związek Kół Towarzystw miłujących ojczyznę obywateli, pracujących nad uświadomieniem narodowem włościan i rozpaleniem wśród nich zbawczego żaru oświaty.

Towarzystwo to — z groszowych składek uzbieranymi pieniądzmi buduje i utrzymuje szkoły polskie w takich miejscowościach, gdzie lud nasz polski zagrożonym jest niebezpieczeństwem wynarodowienia się. Szkół takich, dzięki działalności Towarzystwa „Szkoły ludowej“, powstało w ostatnich lat dziesięciu 14, n. p. w Białej, Zwardoniu, na Bukowinie i t. d., a czyteln ludowych 155.

Oprócz tego stowarzyszenie to zakłada czytelnie po wsiach i miasteczkac i biblioteczki dla najbiedniejszych a spragnionych wiedzy i światla z książek płynących.

Ubogim dzieciom szkolnym sprawia zeszyty i inne przybory naukowe, dostarcza im odzienia a nie rzadko też i ciepłą strawę rozdaje w ciężkich miesiącach przednowku. Również dba stowarzyszenie o przysporzenie rozrywek i przyjemności biednej dziatwie, urządzając dla niej „drzewko Bożego narodzenia“ obwieszone pożytecznymi darami, szopki i jasełka, majówki i wycieczki letnie, lub ułatwiając biednym chorym malcom pobyt na świeżem powietrzu w zdrojowiskach lub lecznicach krajowych. Towarzystwo liczy Kół 8 w tem 3 włościańskie.

Tak to przysposabia dzielne to stowarzyszenie grunt pod bardzo plenny zasiew cnót i siły narodu; przygotowuje umysły i serca młodych pokoleń chłopskiej braci do poznania swej łączności z całością narodu i do przyszłego działania razem z nim w celu odrodzenia ojczyzny.

A pracę tę Towarzystwa „Szkoły ludowej“ oceniają ludzie dobrej woli i garną się doń masami — bo rozumieją, że, jak słusznie powiada Marya Konopnicka w wierszu swym na czele dzisiejszego numeru zamieszczonym: „Korona królewska dla zmarwychwstałej Polski, nad której kuciem pracują obecnie wszystkie warstwy społeczeństwa naszego, wtedy ukończoną będzie, gdy cały lud, jak jeden mąż silny, potężny, świadomy siebie, świętych praw i obowiązków swej duszy i żywotności — zostanie oświecony

i wielkim głosem zawoła: Jestem i idę z wami ku światłu, ku wolności, ku szczęściu!"

Bochum. Westfalia. Jak postępuje policya z Polakami na obczyźnie? Z Wanne piszą do „Wiarusa" bochumskiego:

„W lokalu gościnnym Unterschemanna miało się odbyć zebranie. Gdy uczestnicy zebrania wchodzili do lokalu, zaczął ich zatrzymywać policyant, domagając się podania nazwiska. Jeden z nagabywanych w ten sposób zapytał policyanta, czy mu nawet na szklankę piwa nie wolno przyjść do restauracyi, ale policyant koniecznie żądał podania nazwiska. Innego zapytał policyant także o nazwisko, a gdy mu powiedział po polsku, domagał się, aby mu po niemiecku powiedział, gdy zaś tenże odparł, iż wogóle nic nie potrzebuje powiedzieć, policyant go aresztował".

Wobec tego pisze *Dziennik poznański*:

Tak to już postępują z Polakami! W końcu trzeba się będzie lękać pokazać na ulicy, jeżeli bez wszelkiego powodu narażeni być możemy na podobne „przyjemności" ze strony policyi pruskiej. Policyant powinien był czekać, ażby się było zebranie rozpoczęło, a wtedy mógł je rozwiązać, gdyby był miał prawo do tego, ale nie w taki sposób z ludźmi się obchodzić. Przeciw takiemu stróżowi „bezpieczeństwa" wyślemy zażalenie.

Wiece chłopskie. Staraniem stronnictwa ludowego odbędą się wiece włościańskie dla narad nad projektem zawodowych stowarzyszeń rolniczych, w następujących miejscowościach: 8 czerwca w Sanoku, Gorlicach i Dryszczkach koło Jasła, w Krościenku niżnem koło Krosna i Pilznie, 9 czerwca w Dobromilu, 10 czerwca w Lisku.

Ofiary sprawy wrzesińskiej w więzieniu. Gniezno 15 maja. Wszyscy zasądzeni w procesie wrzesińskim otrzymali nakaz, by w przeciągu tygodnia zgłosili się do rozpoczęcia kary.

Podatek od biletów kolejowych. Rząd zamierza, jak wiadomo, wprowadzić podatek od biletów kolejowych, który podroży ceny jazdy koleją i najdotkliwiej odbije się na kieszeniach robotników i chłopów, zmuszonych częstokroć jeździć za zarobkiem.

Czerwiec. Okopać drugi raz buraki i ziemniaki i wyplewić czysto i to samo w chmielniku, w kukurydzy, w tytoniu, aby nigdzie chwasty nie zostały. Przesadzać kapustę jak najprępzej. Pokończyć te roboty przed sianozbiorami. W koniczynie popatrzeć, czy się gdzie kanianka nie ukazuje. Wtedy ją zniszczyć zaraz, przysypawszy plewami grubo i zapaliwszy plewy, albo zlać te miejsca w koniczynie wodą z koperwasem (witryolem żelaza) 10 kilo na 100 litrów wody. W końcu miesiąca zbiór rzepaku wypada; ze zbiorem się nie ociągać, a zacząć kiedy już ziarnka brunatne — to mniej się wysypie.

Z sianokosami i zbiorem koniczyn nie zwlekać. Skoro koniczyna i trawy zakwitną, zsiec, suszyć na ostwiach i kozłach. — W stajni chronić od much bydło, rozwieszać zatruty papier, łapki, a stajnie trzymać chłodno a okna zacienione, aby słońce nie świeciło wprost. Przeciw gzom i bąkom smarować bydło tłuszczem, w którym wygotowano bobkowy liść albo myć wodą z bobkowych liści.

W upały gnój wodą lub gnojówką polewać, aby się nie palił.

Trzodzie chlewnej w upały dawać sposobność ochłodzenia się i dużo krajanej zieleniny do paszy.

W ogrodzie porozsadzać jeszcze późniejsze jarzyny, poprzywiązywać posadzone drzewka mocno do pali. Tępić gniazda z niedźwiadkami czyli podjadkami.

Zabezpieczenie worków od zniszczenia. Chcąc, żeby płótno przeznaczone na worki do zboża lub mąki miało większą trwałość, trzeba zamoczyć je w odwarze kory dębowej. Na 1 kg. kory bierze się 14 litrów wody wrzącej; ilość ta jest dostateczna na 30 łokci płótna. Po upływie 24 godzin wyjmuje się płótno, płucze w czystej wodzie i suszy. Garbnik, znajdujący się w korze dębowej, nasyca włókno lnu lub konopi i zabezpiecza je od zgnilizny i nadaje mu większą trwałość.

Doskonały pokarm dla drobiu. W dołkach suchych, gdzie owady składają swoje jajka, dobrze jest zostawić trochę przedmiotów pochłaniających wilgoć, jak piasek, trociny, opadłe liście i t. p., które przywabią robactwo. Kiedy to ostatnie zaczyna się wylęgać, wykrawa się z tej ziemi cegiełki i zmięszawszy z pośladem, daje ptactwu domowemu na strawę. Będzie ono ją chciwie pożerać i od tego pokarmu bardzo tyje.

Wykopycenie koni. Należy kopyto obmyć letnią wodą i obandażować szmatą zmaczaną w wodzie z tynkturą arniki i ruty w 3—5%.

Sadze jako nawóz. Pomieszane w połowie z solą stanowią sadze dobry nawóz, zwłaszcza pod warzywa, jak marchew, ćwikła, które na gruntach nawożonych w ten sposób, dają najlepsze plony. Dobrze jest także nawozić sadzami trawniki, które otrzymają piękną barwę ciemno-zieloną.

O strasznych katastrofach na Martynice, w Borysławiu, w Sosnowcu; o krwawym dniu we Lwowie, napiszemy obszernie w przyszłym numerze.



Pamiętajcie o zapłaceniu prenumeraty i zachęcajcie do prenumerowania „Przodownicy".



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

O TADEUSZU KOŚCIUSZCE.

Przez M. T. P.

(Ciąg dalszy).

Wtedy to zamianowano Kościuszkę generałem i oddano pod jego rozkazy jedną część armii. Po kilku drobnych potyczkach z Moskalami, przyszło wreszcie 17 lipca 1792 roku do walnej bitwy pod Dubienką. Tutaj Kościuszko, mając zaledwie 5 tysięcy żołnierza i 8 dział, opierał się przez cały dzień znacznie przeważającej sile nieprzyjacielskiej, bo wynoszącej przeszło 20 tysięcy żołnierzy i 40 armat. W najstraszniejszym ogniu tej bitwy, spokojnym był Kościuszko zupełnie. Baczny, rozsądny, waleczny, słuchany — bo chociaż od niedawna dowodził, potrafił już zjednać sobie miłość i cześć podwładnych — robił w bitwie pod Dubienką wszystko, co w mocy jego było, lecz że nie chciał oddziału swego na oczywistą zgubę wystawić, więc z czystem sumieniem kazał wreszcie do odwrotu zatrąbić. Zwycięstwa, jak widzimy, nie odniósł, ale i tak zjednał sobie najwyższe u wszystkich uznanie i okrył się nieśmiertelną sławą.

Króla Stanisława Augusta, zawsze chwiejnego i bojaźliwego, zdołali nareszcie Targowiczanie na swoją stronę przeciągnąć. Dnia 23 lipca 1792, przystąpił on otwarcie do zdrajców Ojczyzny i zakazał polskiemu wojsku walczyć z Moskalami. Oburzyło to do najwyższego stopnia cały naród. Wielu oficerów wzięło uwolnienie od służby, a między nimi i sam książę Józef Poniatowski. Tadeusz Kościuszko, wyższy duchem od swych kolegów, chociaż równie, jak oni a może bardziej jeszcze bolał nad tem co zaszło, postanowił poświęcić się do końca dla sprawy rodaków. Uważał on, że obowiązkiem jego jest pozostać żołnierzem, dokąd tylko będzie można, aby dzielić z wojskiem złą i dobrą dolę, podtrzymywać jego ducha, prowadzić w karności i mieć o nim pieczę w szpitalach. Całe dni spędzał więc teraz Kościuszko u łoża rannych swych towarzyszy broni. Zyskiwał tem postępowaniem coraz szersze uwielbienie i cześć. I król, i Targowiczanie, i Moskwa chcieli go przeciągnąć na swoją stronę. Ale daremnie! Nareszcie kiedy wojsko zmniejszono, i po różnych stronach kraju rozrzucono, podał się i Kościuszko o uwolnienie i w sierpniu tegoż roku je otrzymał. Ze zmartwienia nad nieszczęściem Polski zachorował. Zaledwie jednak przyszedł nieco do zdrowia, postanowił opuścić Warszawę. Nocą wyjeżdżając ze stolicy z sercem przepełnionem uczuciem niewysłowionego żalu, wzniósł pałasz do góry i zawołał rzewnym głosem; „Boże, dozwól mi jeszcze raz bić się za Ojczyznę!“

Kościuszko udał się najprzód do Sieniawy, dóbr przyjaciół swych ks. Czartoryskich. Stamtąd z nimi razem wyjechał do Lwowa. Ta część Polski — niegdyś Czerwona Ruś — w owym czasie pod nazwą Galicyi, wcieloną była do Austryi. Zaledwie tedy rozbiegła się po mieście wieść, że wielki generał Kościuszko przybył, zaraz począł go nakłaniać gubernator Galicyi, aby wstąpił w służbę austryacką, a że Kościuszko uczynić tego nie chciał, więc kazano mu opuścić kraj.

Dnia 27 listopada 1792 wyjechał Kościuszko ze Lwowa i udał się do Niemiec. W Saksonii bawił rok cały, a jak cenionym był nawet na obczyźnie, dowodzi fakt, że ówczesne Zgromadzenie Narodowe we Francyi (gdzie właśnie na skutek wielkiej rewolucyi z 1789 r., utworzono Rzeczpospolitą) przysłało mu dyplom obywatelstwa swego.

IV.

Tymczasem (1792) nastąpił drugi rozbiór Polski. Nieszczęście to, chociaż bardzo przygnębiło naród, przecież nie złamało w nim ducha. Wybitniejsi patryoci, zaczęli się porozumiewać z sobą, aby obmyśleć środki oswobodzenia Ojczyzny z pod przemocy wrogów. Postanowiono tedy porozsyłać tajemnie zdolnych ludzi po różnych częściach kraju, do miast i między wojsko, aby przygotować powstanie. Termin wybuchu naznaczono pierwotnie na listopad 1793 r., lecz musiano go nieco odciągnąć, albowiem zamyślano skorzystać ze sposobności, gdy część pułków moskiewskich — dążąc na wojnę z Turcyą — opuści granice Polski. Lecz że carowa rozkazała równocześnie zmniejszyć wojsko Rzeczypospolitej do 15 tysięcy — t. j. zbyteczne oddziały rozbroić i rozpuścić, przeto patryoci, którzy kierowali przygotowaniami do zbrojnego powstania, jak: Ignacy Potocki, ksiądz Kołłątaj, Działoszyński i inni, zgodzili się na to, aby rozpocząć dzieło przed przeprowadzeniem rosyjskich planów. Chodziło tylko o to, kto stanie na czele tego narodowego ruchu. Rozumiano, że naczelnikiem powstającego narodu musi być tylko taki, któremu z całą ufnością powierzyć będzie można los i honor Ojczyzny. I oczy wszystkich zwró-

ciły się w stronę Kościuszki. Posyłano więc do niego gońca za gońcem, z przedstawieniami i prośbami, aby stanął na czele powstania i przedewszystkiem Moskwie wypowiedział walkę na zabój. Kościuszko, jako człowiek sumienny, długo się wzbraniał od przyjęcia na barki swoje ciężaru takiej odpowiedzialności, albowiem przewidywał niebezpieczeństwo, na jakie narażano Polskę, każąc jej porywać się do walki bez pieniędzy, bez żołnierzy i bez poparcia mocarstw europejskich. Lecz, że w narodzie rozpacz coraz to bardziej się szerzyła, a okrutne postępowanie posła rosyjskiego w Warszawie gen. Igelstroema, stawało się coraz nieznośniejszem, Kościuszko postanowił nie zwlekać, lecz zaparłszy się siebie, stanąć na czele powstania. Jakoż w nocy dnia 23 marca 1774 r. przybył przez Podgórze do Krakowa, skąd przed kilkunastu dniami Moskale uciekli, dowiedziawszy się o nadciągającym oddziale polskich ułanów, pod wodzą gen. Madalińskiego, który w okolicy Ostrołęki, pierwszy dał hasło do walki z wrogami. Zaraz nazajutrz, t. j. 24 marca obwołano Tadeusza Kościuszkę naczelnikiem całego narodu i nadano mu władzę prawie nieograniczoną, gdyż do pomocy miał mieć Radę Narodową, której członków sam mianował; a „wolność, równość, niepodległość“, stały się hasłem powstania.

Tegoż pamiętnego po wszystkie wieki dnia 24 marca 1794 r. dokonał Tadeusz Kościuszko na rynku krakowskim uroczystej przysięgi „wywalczyć Ojczyźnie wolność, albo zginąć“, poczem zebrawszy pod swojem dowództwem 3000 żołnierza i 300 chłopków z okolicznych wsi, uzbrojonych przeważnie w kosy i dlatego zwanych „kosynierami“, wyruszył dnia 1 kwietnia 1794 r. z Krakowa, w stronę północną, gdzie spodziewał się spotkać Moskali. I rzeczywiście. Między Działoszycami a Słomnikami, w pobliżu wsi Racławice spotkał d. 4 kwietnia oddział nieprzyjacielski, złożony z 6000 ludzi i 20 armat, pod wodzą gen. Tormasowa. Kościuszko podzielił zaraz swoje wojsko na trzy części. Generał Wodzicki objął komendę na prawem skrzydle, gen. Zajączek na lewem, a sam Kościuszko dowodził środkiem. Przez dwie godziny stały wojska nieprzyjacielskie naprzeciw siebie, nie zaczepiając się wcale. Dopiero około godziny 3-ciej po południu Moskale, sprzykrzywszy sobie to oczekiwanie, zaczęli bić z armat do polskiej piechoty. Kościuszko widząc, że piechota jego nie wytrzyma tak silnego ognia dział moskiewskich — staje na czele kosynierów, a wskazując pałaszem w stronę moskiewskich bateryi, woła: „Chłopcy! wziąć mi te armaty!“ — Kosynierzy na ten rozkaz ukochanego wodza, uniesieni zapałem, wpadają prowadzeni przez dwóch największych zuchów: Bartłomieja Głowackiego i Stanisława Świstackiego — na szeregi Moskali, łamią je siłą uderzenia, wycinają straż przy działach będącą i przykrywają czapkami otwory ogniem ziejących luf. Wróg przerażony niesłychaną odwagą — ani się opatrzył, jak prawie bezbronni chłopkowie armaty mu zagwoździli. Trwogą przejęty, umknął z placu boju, zostawiając 12 dział i całą amunicyą — jednego pułkownika i 600 ludzi bądź zabitych, bądź rannych.

Kościuszko tedy, głównie dzięki swojej przytomności umysłu i pomocy nieustraszonych krakowskich wieśniaków, odniósł zupełne pod Racławicami zwycięstwo. Lecz wyzyskać go w zupełności nie mógł, a to z przyczyn, iż wojsko jego świeżo zaciągnięte i nie bardzo karne, uniesione radością, chciało wczasować, a Kościuszko bojąc się niespodziewanego napadu reszty moskiewskiej armii — cofnął się o północy pod Słomniki Tam dopiero pozwolił swym ludziom odpocząć, chodził między obozujących, chwalił odwagę i męstwo kosynierów, Głowackiego w oczach całego wojska uściskał i ucałował, a wreszcie na znak, jak bardzo ceni stan kmiecy, który w pokoju własnemi rękami uprawia a w czasie wojny broni piersiami swemi ojczystej ziemi — zrzucił z siebie ubiór generalski a przywdział chłopską sukmanę — i w niej odtąd już tylko dowodził.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dańko z Jawuru.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Borysław może nie byłby usłuchał, gdyby mu kto jaknajjaśniej tłumaczył, że pan bezkarnie chłopów ciemiężyć nie powinien, ale w tej zepsutej naturze jedno złe drugiemu ustąpiło — po gniewie i zawziętości próżność się zbudziła, więc też z najpyszniejszą postawą rzekł do matki.

— Kiedy tak chcecie, matko, pójdę im przebaczyć.

Tymczasem dwa draby z powrozami w ręku przeszli sioło i przed Sępa chałupą stanęli.

— Mój Boże, kogo też bić będą? — szeptali między sobą strwożeni wieśniacy. — Piękne paniątko obiecało, że nam nikt więcej krzywdy nie uczyni, ale widać złość pana od jego dobroci silniejsza.

Draby weszli do Piotrowej chaty, a wszystkie twarze na ich przybycie zbladły.

— Po kogoście tu przyszli? — Sęp spytał wreszcie.

— Po twego syna, chudzino — daj go nam tutaj pod pięćdziesiąt razów, to i ćwierć godziny nie potrwa.

Sęp do ust palec przyłożył i wskazał ku alkierzowi.

— Spodziewałem się tego — rzekł stłumionym głosem — lecz wiedzieć przecie musicie, że mi od trzech dni w gorączce leży biedactwo; gdybyście go położyli, toby nie wstał więcej.

— No, ojcze, ja ci poradzę — ozwał się jeden z oprawców — mamy i dla ciebie równą prawie ilość, a panicz nam wspominał, że kto weźmie, to weźmie, byle wszystko wziął.

Sęp się uśmiechnął szydersko.

— Dobre dziecko, więc pozwoliło na to — i owszem, ja przyjmę wszystko, coście przynieśli gościńcem, tylko wyjdźmy ztąd, żeby mi się w komorze chłopak nie obudził.

— Właśnie też, a sąsiady zlecą się jak kawki — odpowiedział pański sługa — i może znowu ztąd lub zowąd człowiekowi guz na głowie wyskoczy. Nie głupiśmy, mój ojcze, — dalej, prędko do pracy!

I pochwycili oba nieszczęśliwego Piotra, związali mu ręce, a potem, jak długiego rozciągnęli na ławie.

— Cicho, cicho, dziatwa — rzekł Sęp do płaczących — obudzicie mi Dańka; ot, lepiejbyś zrobiła, kobieto, gdybyś mi kawał jakiego szmata między zęby dała.

Salomea przyniosła mu starego płótna odrywkę, a draby czynność swą haniebną zaczęli. Jednostajnym ruchem wznosił się i opadał ogromny powróz, a ślad swój znaczył na grzbiecie chłopa ciemno krwią nabiegłą pręgą. W chacie głęboka cichość panowała; Salomea, Magdeczka, Bartuś w słomę posłania głowy utulili, żeby nie patrzeć, żeby ciszej płakać. Sęp zaś nie jęknął, nie syknął nawet, jak gdyby z drewna lub kamienia miał ciało. Jednak ta cichość właśnie i to jednostajne świstanie powrozów przerwały sen Dańka; zwlókł się powoli z nędznego łoża i blady, wychudły, z roziskrzonemi od gorączki oczyma, stanął we drzwiach komory.

— Przekleństwo okrutnym! — jęknął boleśnie.

— Milcz — odezwał się Sęp wtedy — milcz i wynoś się ztąd.

Dańko, wedle rozkazu, umilkł, ale nie wyszedł, tylko obie ręce do piersi przycisnął, wzrok obłąkany wlepił w bijących i za każdem uderzeniem czerwone plamy występowały mu na twarz.

Nagle jednak odchyliły się drzwi znadworza, a między niemi ujrzano rozweseloną twarz Borysława.

— Dajcie już pokój — zawołał — matka prosiła, ja przebaczam — i zniknął. Na widok Kaszubczyka, na widok tego, co ojca bić kazał — Dańko, nie słysząc, nie rozumiejąc, z wściekłością poskoczył z miejsca, ściśnięte pięście wyciągnął, lecz nim do środka izby zaszedł, sił mu zabrakło i padł bez przytomności na ziemię. Draby zaś jaknajspokojniej zwijali swoje narzędzia, a gdy już wyjść mieli, starszy z nich w progu się zatrzymał i rzekł jeszcze:

— Cha! poczciwi ludziska, zapomniałem wam powiedzieć, że o tem, co dziś się stało, mówić komu wara. Ani Bogu, ani królowi, bo Bóg wysoko, książę daleko, a pan Kaszuba blisko, za złe słowo, za złą myśl — wyrwie język, zetnie głowę. Pamiętajcie! cokolwiek zajdzie potem, pamiętajcie! — i odeszli.

Teraz Sęp i wszyscy w chacie Dańkiem tylko byli zajęci; rozcierano mu skronie zimną wodą, chłodzono ręce i piersi, aż nakoniec krew mocno się nosem rzuciła i to go uratowało; wkrótce przyszedł do siebie, a nawet z wielką rodziców pociechą od tej pory znacznie mu być lepiej zaczęło.

Lecz w niedzielę to, w niedzielę prawdziwe czekało ich szczęście. Dziesiętnikom wydano rozkazy i cała gromada stawiła się na nabożeństwo. Sęp nawet wziął Dańka z sobą, bo chłopiec już widocznie do pierwszego wracał zdrowia. Tym silnym, niespaczonym organizmom wieśniaków czasem tak mało do uleczenia potrzeba.

W kościele osobną ławę zasiadł pan Kaszubski z całą rodziną swoją na lewej stronie, gdyż prawa była przez jakiegoś nieznajomego w barwach królewskich zajętą. Przy tym nieznajomym kilku ludzi stało, jak widać z jego orszaku. Sęp z Dankiem usunęli się o ile tylko mogli od pańskiego oka, i zdarzyło się, że chłopiec uklęknął właśnie przed patronem swego ojca, przed świętym Piotrem w okowach, któremu jasny anioł drzwi więzienne otwierał. Była to dla wszystkich chwila jakiejś niespokojności i przykrego oczekiwania, choć im zapowiedziano nadzwyczajność, i choć z tego samego słowa mogli już lepszej spodziewać się doli, oni w smutku zrodzeni jeszcze się czegoś bali. Tylko Dańka serce silniej nadzieją niż trwogą biło, bo Dańko w tej chwili tak szczerze się modlił i miał tak dobrej wróżby obraz przed oczyma. Ksiądz nakoniec wszedł powtórnie na kazalnicę — po-

dano mu kartę pergaminową z rąk obecnego pana, zaczął czytać i stopniowo za każdym wyrazem, jak gdyby jasności dziennej przybywało, tak pogodniały twarze wiejskich słuchaczów. Ksiądz oznajmiał, że Jawur przechodzi na własność Władysława I-go, króla polskiego, księcia kujawskiego, sieradzkiego, pomorskiego i t. d. — że takie a takie nadużycia się znoszą, takie a takie ciężary ustają, nakoniec, że kmieć Piotr Sępem zwany, z całą rodziną swoją, wolnością i tym gruntem, który niegdyś dla pana swego uprawiał, hojnie obdarzony być ma. Jeszcze nie doczytano słów ostatnich, a już po ściśniętym tłumie, jak głos jednej piersi przebiegło ciche najpierw, potem coraz wyraźniejsze dziękczynne do Boga wołanie. Kaszuba trochę zczerwieniał i trochę brwi zmarszczył, ale nie spojrzał nawet ku wołającym, tylko wziąwszy za rękę syna, poszedł naprzeciw kapłana opuszczającego kazalnicę. Stanęli razem przed ołtarzem, wysłaniec królewski zbliżył się do nich i wziąwszy odczytane pismo, dziedzicowi je podał. Dumny pan w milczeniu nakreślił znak krzyża u spodu, przycisnął pierścień do wiszącej na sznurze pieczęci i wolnym krokiem się oddalił; nim przestąpił próg kruchty, już mógł słyszeć, jak tłumiony okrzyk wydarł się z serc wieśniaczych, nakoniec żegnał go po latach tylu wspólnego życia, niewzajemnej pracy, żegnał go tylko radością rozstania!

Powoli, powoli wypróżniał się dom Pański; każdy spieszył z dobrą wieścią do chaty, do pozostałych dzieci, kobiet, starców, którzy obrzędowi przytomni być nie mogli. Świece zgaszono i tylko w dworskiej ławie klęczała blada pani, z młodą przy nogach swoich dziewczynką, a przed obrazem Piotra w okowach stał Piotr Sęp zamyślony i ukochany jego Dańko modlił się jeszcze wdzięcznością i szczęściem,

Cisza głęboka rozlała się w około, a zapewne tej chwili czekająca pani wzięła za rękę swą córkę, żeby wyjść spokojnie, samotnie, kiedy nie dojdzie jej ucha żadne słowo skarżące męża, kiedy nie padnie na dziewczynkę żadne niechętne za ojca spojrzenie. Szły obie cicho i prędko, nagle biedna matka zatrzymała się, przez czas jednej myśli stanęła trwożna, czy niepewna, lecz zaraz odzyskując przytomność, spuściła głowę i spieszniejszym jeszcze krokiem do drzwi wychodnych dążyć zaczęła.

We drzwiach samych musiała się odwrócić, bo ktoś ujął kraj jej szaty i całował go w milczeniu.

— Ach! to wy, Sępie? — rzekła z widocznem pomieszaniem.

— Ja, moja droga pani, i przychodzę pytać was w pokorze, czemu oblicze tej, co była miłosierną, odwraca się od tych, co tak bardzo nieszczęśliwymi byli? Znać gorzkim żalem serce wasze jest przejęte, kiedy nawet ręki umoczyć nie chcecie w święconej wodzie na ostatnie pożegnanie, dlatego jedynie, bo ta woda stoi przy stronie, gdzie my się Bogu modlimy dziękowaniem, a może i prośbą za was.

— Niech pociechą do życia wrócą wam te słowa, poczciwy człowieku — rzekła na to z westchnieniem pani Kaszubina — miejcie jednak za prawdę sobie, że ja nie z rozżalenia lub przykrej niechęci pominąć was chciałam, tylko wszystkich świadoma okoliczności, bałam się, żebyście wy do mnie odrazy nie czuli.

— Złemu odraza — ze zwykłą sobie pochmurnością Sęp odpowiedział — ale dobremu wdzięczna pamięć. Wy najsłodsza pani, musicie mieć przecież w świadectwie waszego sumienia, żeście dobrą byli dla jawurskich kmiotków.

— Nagradzacie chęci moje, grzechem niemożności nie stanowiąc; błogosławieństwo z wami, dobry Sępie.

— Kiedy błogosławicie, to nie mijajcież wdzięcznych ludzi i wody święconej — rzekł Piotr z zupełnie już rozsępioną twarzą.

— Pójdźmy razem do niej — a łagodny uśmiech przebiegł także smutne pani lica.

We wklęsłości dużego kamienia, przy świętego Piotra obrazie, stała do użytku wiernych czysta woda święcona. Zbliżyła się do niej i żona możnego Kaszuby, i ubogi Sęp, kmiotek, i piękna jak aniołki Boże Halinka i blady jeszcze świeżemi ranami Dańko. Wszyscy czworo stali w milczeniu, w jakiemś zebraniu ducha, jakby do modlitwy, choć żadne z nich nie mówiło pacierza. Nakoniec rumieniec wybił na bladej pani obliczu, zdało się, że słucha jakiegoś głosu, tak wzniosła do góry czoło, tak niezwykłym wyrazem twarz jej zajaśniała.

— Oto syn mój — rzekła powoli, uroczyście — syn mój, którego wypiastowałam na chwałę Bogu, na szczęście ludziom, na pociechę dla siebie, dziś zgrzeszył przeciw Stwórcy, skrzywdził bliźniego, zasmucił serce matki. Lecz on dzieckiem jeszcze, a jako prawdą jest, że codziennie się modlę o jego poprawę, jako chcę byście mi wierzyli, iż dla was cierpiących zawsze litość czułam, dla was prześladowanych lepszej doli pragnęłam, tak teraz duszy waszej zapomnienie oraz polecam, od dobroci waszej przebaczenia wzywam, aby za tymi, którzy wam źle czynili, skargą do Boga słowo żadne nie pobiegło, bo skarga uciemiężonych straszliwem z nieba przekleństwem powraca — a wy nie chciejcie zemsty nad moimi!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka**.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.